

LATA WCZESNEJ MŁODOŚCI-CZĘSTOCHOWA WARSZAWA



Hania Treutler i Elżunia Kotlińska
- „ziemianki” Bukowno

W połowie ostatniej klasy Szkoły Podstawowej w Krakowie zostałam przeniesiona przez zapobiegliwą Mamę do szkoły w Częstochowie. W tym czasie Mama mieszkała ze swoim nowym mężem lekarzem internistą Jerzym Dreyzą i z moją młodszą siostrą Kubą (Romką) w naszym starym mieszkaniu przy ul. Kilińskiego 21 w Częstochowie, gdzie mieszkaliśmy pod koniec okupacji niemieckiej z naszym Ojcem. Starsza siostra Basia uczyła się w Szkole Pielęgniarskiej w Pabianicach. Był to początek 1952 roku, okres największego stalinizmu, okres represji w stosunku do inteligencji polskiej o pochodzeniu „niepewnym”. Moja rodzina do tej grupy należała, w metryce urodzenia miałam wpis

„córka ziemianina”. Mama wiedziała, że normalnym trybem do Liceum w Krakowie się nie dostanę. Naturalnie nie byłam tego świadoma. Radośnie rozpoczęłam nowe

pótrocze w Szkole, kierowanej przez sprzyjającej takiej młodzieży Pani Dziubowej, z dobranym gronem pedagogicznym. Młodzież też była dobrana. W klasie był syn dyrektorki Marek Dziuba, bliźniacy Wróblewscy Tadzio i Władzio ewangelicy, synowie znanego częstochowskiego architekta, Elżunia Kotlińska też ziemiańska córka. Zdziwiło mnie, że otrzymuję bardzo wysokie oceny z wszystkich przedmiotów nawet z języka rosyjskiego, z którego w Krakowie ledwie otrzymywałam pozytywną notę. Myślałam, że w Krakowie był taki wysoki poziom nauczania, dlatego w Częstochowie tak dobrze sobie radzę. Po zrobieniu gazetki ściennej o Leninie po rosyjsku nawet z języka rosyjskiego na koniec roku miałam najwyższą ocenę. Moje świadectwo ukończenia Szkoły Podstawowej miało od góry do dołu maksymalne bardzo dobre oceny...

CUDOWNA PANI DYREKTOR DZIUBOWA I JEJ GRONO PEDAGOGICZNE. Dzięki!



Hania - pierwsza klasa liceum

Przyjęcie do Żeńskiego Liceum im Juliusza Słowackiego w Częstochowie odbywało się na podstawie konkursu świadectw ze szkoły podstawowej. Byłam pewna swego zwycięstwa z takimi ocenami. Niestety...Miałam 14 lat i bardzo dobre nastawienie do życia, trudno mi było zrozumieć, że jestem na liście nieprzyjętych z braku miejsc. Moje koleżanki z dobrym robotniczym pochodzeniem, a z bardzo miernymi



Hania - maturzystka

świadectwami wyprzedziły mnie. Było to moje pierwsze rozczarowanie w młodziutkim życiu. Pisana mi była Szkoła Zawodowa lub koniec wykształcenia. Dzięki inicjatywie mojego ojczyma oraz moim „wspaniałym ocenom” na świadectwie, już w trakcie rozpoczętego roku szkolnego dostałam się do Liceum. (Ojczym wyleczył wysoko postawionego urzędnika Urzędu Bezpieczeństwa i tą drogą uzyskałam poparcie w dostaniu się do Szkoły).

To jedyny gest mojego ojczyma w stosunku do mnie, za który jestem mu wdzięczna.



Myszka i Hania

Od pierwszego dnia w nowej szkole zaprzyjaźniłam się z Marią Kowalską zwaną Myszką. Była to moja sąsiadka z kamienicy. Została moją najlepszą przyjaciółką. Przez cztery lata siedziałyśmy w jednej ławce, spędzałyśmy razem każdą wolną chwilę. Myszka była bardzo pilną i zdolną dziewczyną szczególnie z przedmiotów ścisłych. Stała się moją podporą z matematyki aż do matury. Potem

była świadkiem na moim ślubie, matką chrzestną mojego syna Macieja.

Przyjaźń nasza przetrwała do dnia dzisiejszego mimo odległości w zamieszkiwaniu. Myszka mieszka obecnie w Bielsku Białej, skończyła AGH w Krakowie.



Klasa maturalna (trzecia z lewej Joanna Kempa, Hania, Myszka Kowalska – trzy przyjaciółki)

Nasza szkoła, to stare przedwojenne Liceum Żeńskie Juliusza Słowackiego z doskonałą kadrą nauczycielską, od której miałam przyjemność pobierać nauki, szczególnie przez pierwszy rok. Potem ze względów politycznych część nauczycieli musiała odejść.

Dyrektor szkoły Pani Idzikowska przez pierwszy rok mojego pobytu, codziennie z troską sprawdzała czy jesteśmy odpowiednio ubrane, często w zimie zaglądając nam pod spódniczki, czy są ciepłe majtały i pończochy. W szkole panował rygor, ale i ciepła atmosfera. Niestety po wygłupach starszych koleżanek na jakimś politycznym wiecu, w więzieniu znalazł się jeden z profesorów, a naszą Dyrektorkę Idzikowską wysłano na przymusową emeryturę. Dyrektorką została aktywistka partyjna bez wykształcenia



Z lewej Joanna Kempa, Hania, Myszka Kowalska - trzy przyjaciółki



Trzy "tancerki" w Bukownie z lewej Ewa Kowalska, Hania i Elżunia

pedagogicznego. Naszą Panią Dyrektorkę Idzikowską opiekowałyśmy się aż do matury. Ona pomagała nam w nauce niektórych przedmiotów. Czasy Liceum wspominam mimo wszystko bardzo pogodnie. Byłyśmy młode i miałyśmy mnóstwo pomysłów. Były zabawy szkolne, które odbywały się na sali gimnastycznej przybranej na tę uroczystość własnoręcznie przez nas zrobionymi dekoracjami. Wtedy zapraszałyśmy kolegów z sąsiedniego Męskiego Liceum im Traugutta, lub Sienkiewicza. W ramach wykształcenia muzycznego chodziłyśmy do Sali Koncertowej na tak zwany „Artos”. Tam wysłuchałam pięknego koncertu znanej polskiej skrzypaczki Wandy Wiłkomirskiej i dostałam jej autograf. Niestety były też przymusowe pochody 1-majowe, które zawsze traktowałyśmy z rezerwą oraz wyjazdy do pobliskich PGR-ów na wykopki ziemniaków.

Miałyśmy też dużo zajęć dodatkowych jak kółko teatralne, gdzie wystawialiśmy m.i. fragmenty „Pana Tadeusza”, lub „Anielkę” Prusa. Naturalnie nasze występy odbywały się przy okazji Akademii z powodu Rewolucji Październikowej lub innego

komunistycznego święta. Miałyśmy wielu bardzo dobrych nauczycieli: matematyk Pan Tomasiak, Pani Smolarkiewicz wspaniała nauczycielka niemieckiego, Pani Kutty bardzo wymagająca i sroga z chemii, Pani Mordaszko z fizyki, Pani Tobruk z języka polskiego. Sport i gimnastyka świetnie była prowadzone przez dwie starsze Panie. Nas uczyła Pani Roloff, która nawet organizowała spływy kajakowe. Miałyśmy drużynę siatkówki i trenowałyśmy szermierkę. Raz nawet razem z Myszką pojechałyśmy na obóz sportowy. Wymienieni profesorowie wszyscy uczyli jeszcze przed wojną. Niektóre matki moich koleżanek chodziły do tej szkoły, uczyli je ci sami profesorowie. Klasy były też te same, tylko zamiast krzyża wisiały portrety Stalina i Bieruta.

Najgorszym przeżyciem moim i moich koleżanek związanym ze szkołą i tamtymi okropnymi czasami był marzec 1953 roku.



Hania, Zosia, Ewa Kowalska - siostra Myszki, Elżunia Kotlińska - przed szkołą

z koleżanek legitymację szkolną i tak dowiedział się, z której szkoły młodzież profanuje żałobę po jego ukochanym wodzu. Następnie opisał to w Trybunie Ludu (gazecie komunistycznej). W następstwie do Szkoły wtargnęła Ubecja i zaczęło się..... Cała klasa została pod sam koniec roku zawieszona w czynności ucznia. Nie pamiętam dokładnie, ale ktoś z nauczycieli miał poważne kłopoty. Przez miesiąc

Trzeciego marca tego roku zmarł Józef Stalin. Świat komunistyczny przeżywał żałobę. Nas, młodzież mało to obchodziło. Jako piętnastolatki nie byłyśmy w politykę zaangażowane.

W tych samych dniach, w ramach poszerzania wiedzy z astronomii szkoła zorganizowała dla naszej klasy wycieczkę do Planetarium w Chorzowie. Jechałyśmy pociągiem i aby skrócić sobie czas podróży wyśpiewywałyśmy różne piosenki (raczej wydzieraliśmy się).

W naszym niewybrednym repertuarze znalazła się piosenka „Umarł Maciej, umarł już leży na desce...”

Tego było za wiele dla jakiegoś zagorzałego komunisty, opłakującego Stalina. Wyrwał jednej

rodzice wraz z nauczycielami szukali właściwego rozwiązania, a my siedzieliśmy w domu rozmyślając o zsyłce na Sybir. Szczęśliwie wyrok zapadł względnie łagodny. Wróciliśmy do szkoły. Wszystkie miałyśmy obniżony stopień z zachowania, a ja i Elżunia Kotlińska (dwie ziemianki) zostałyśmy okrzyknięte przywódcami zajęcia. Do końca roku codziennie stałyśmy na apelu porannym na środku holu wytykane, jako wrogowie PRL-u. Nam się to podobało. Na świadectwie kończącym klasę otrzymałyśmy stopień z zachowania zaledwie dostateczny.

W maju 1956 roku udało mi się szczęśliwie zdać maturę. Jako jeden z ważniejszych przedmiotów do zdania była Nauka o Konstytucji Komunistycznej. Gdy zdałam maturę właśnie skończyłam 18 lat, więc otrzymałam od Mamy złotą bransoletkę, którą dostała od mojego



Myszka i Hania - przyszła medyczka

Ojca w dniu moich narodzin. Historię tej bransoletki opowiem w innym momencie. Radość moja z otrzymanej matura była ogromna. Tylko Pan prof. Tomasik obraził się na mnie, bo matematykę zdałam zaledwie na dostatecznie, widocznie dzięki Myszcze miał o mnie lepsze zdanie.

Z wydarzeń politycznych w tym okresie to że przed samą maturą w marcu 1956 roku zmarł komunistyczny prezydent Bolesław Bierut, który pojechał do Moskwy i wrócił w trumnie.... Nie spodobał się sowieckim władzom i panującemu wówczas Chruszczowowi... Podobno zmarł na serce, ale zdania były podzielone. Wprawdzie prezydentem był do 22 lipca 1952r, gdy uchwalono Konstytucję PRL - która nie przewidywała stanowiska prezydenta. Krajem rządził Generalny (Pierwszy) Sekretarz Polskiej Partii Robotniczej, którym Bierut był.

Obecnie najważniejszym balem dla maturzystów jest studniówka.

Dla mojego pokolenia był to bal pomaturalny. Był on zorganizowany w Liceum Męskim im. Sienkiewicza. Bawili się tam wszyscy maturzyści z Częstochowy z osobami towarzyszącymi. Mnie towarzyszył mój brat cioteczny Andrzej Bieliński.



Hania - pierwsza z lewej, Zosia Haberko,

Elżunia Kotlińska, Myszka Kowalska

Dostałam od Mamy wspaniałą jak na tamte czasy sukienkę, piękną i gustowną, którą Mama odkupiła z jakiejś zagranicznej paczki. Pierwszy raz poczułam się wytworna.

W okresie mojej edukacji częstochowskiej zmieniliśmy miejsce zamieszkania. Mama kupiła pół willi na sąsiedniej ulicy Jasnogórskiej 48. Była to decyzja ojczyma, który otworzył prywatny gabinet lekarski. Było nam tam ciasno szczególnie, gdy wróciła moja starsza siostra Basia po ukończeniu szkoły pielęgniarstwa, a i pomieszkiwał syn ojczyma Jurek Dreyza.



Hania w Bukownie

Z siostrami zajmowałyśmy pół pokoju przedzielone szafami. Moja młodsza siostra Kuba zaczęła chodzić do pierwszej klasy, też do szkoły Pani Dziubowej. Warunki do nauki miałyśmy skromne. Stosunki z ojczymem moje układały się fatalne. Może wyczuwałam intuicyjnie, że nie jest to dobry mąż dla naszej Mamy. Mama była zakochana. Gdy byłam już samodzielną lekarką, małżeństwo mojej matki z ojczymem rozpadło się.

Gdy przyjechałam do Częstochowy nasz dworek Bukowno koło Częstochowy zarekwirowało Państwo. Jeździłam tam z przyjaciółmi na rowerach, gdy dojrzewały czereśnie i mimo pilnowania sadu przez dozorcę, podkradaliśmy własne owoce. Pod koniec Liceum Bukowno w dość opłakanym stanie wróciło do nas. Nie opłacało się państwu dokładanie do gospodarstwa. Zniszczyli i oddali. Te wyjazdy do Bukowna traktowaliśmy jak zabawę w podchody „wyprowadzając w pole” dozorcę.

W naszym wieku wszystko było zabawą.

Pierwsze zauroczenie przyszło pod koniec Liceum. Zakochałam się w trenerze



Spływ kajakowy, Hania z Jurkiem Goliszewskim

szermierki Jurku Goliszewskim. Jurek kilkakrotnie zdawał na studia Medyczne bez efektu. Ojciec jego był oficerem AK, zamordowała go Ubecja. Jurek był sportowcem i dorabiał jak umiał, bo miał tylko matkę. Dostał się do Szkoły Felczerskiej, którą ukończył i dalej starał się na medycynę. Mimo, że ja też nie dostałam się na studia za pierwszym razem, on zaczął studiować kilka lat po mnie. Studia ukończył i pracował, jako chirurg dziecięcy w Warszawie. Nasze drogi się rozeszły.

Wspominam często moją drugą przyjaciółkę Joannę Kempę, bardzo uzdolnioną dziewczynę, która przyswajała sobie naukę bardzo szybko. Jako jedyna w klasie opanowała język niemiecki biegle. Wprawdzie jeden zeszyt często wystarczał jej do wszystkich przedmiotów, ale oceny miała bardzo dobre. Ukończyła Akademię Medyczną w Warszawie. Zrobiła specjalizację z Okulistyki na Śląsku. Po śmierci rodziców, którymi się opiekowała, wyjechała do Nowego Jorku.

Po maturze złożyłam papiery na Akademię Medyczną na Śląsku w Rokitnicy. Na egzaminie najważniejszym pisemnym egzaminem była... nauka o komunistycznej konstytucji..., chemia i biologia była mniej ważna. Historia się powtórzyła..... Zdała, nieprzyjęta z braku miejsc...Zaważyło pochodzenie.

Było to przed październikiem 1956 r. w którym nastąpiła „odwilż”. Ogarnęło mnie przygnębienie, bo bardzo chciałam studiować, chciałam się też wyrwać z domu. Stosunki z ojczymem stały się nie do zniesienia. Najbardziej cierpiała na tym moja Mama.



Spotkanie w liceum po latach:

Hania z Myszką w naszej pierwszej ławce

Miałam 18 lat. Właśnie w Warszawie zwolniło się miejsce pracy (wolontariat) w Instytucie Hematologii po moim kuzynie Stasiu Bielińskim, który był rok wcześniej w podobnej sytuacji jak ja i właśnie dostał się na Akademię Medyczną we Wrocławiu.

Za pracę na wolontariacie w służbie zdrowia dostawało się dodatkowe punkty na studia medyczne.

Wujostwo Bielińscy przyjęli mnie w Warszawie z otwartymi ramionami.

BRANSOLETKA— bumerang

Bransoletka ta w naszej rodzinie jest od mojego urodzenia dnia 16 maja 1938 roku. Był to prezent od Ojca dla Mamy z zaznaczeniem, że będzie dla mnie, gdy skończę osiemnaście lat. Tak się też stało. W dniu, kiedy zdałam maturę, ukończyłam 18 lat dostałam od Mamy bransoletkę. Z opowiadań Mamy wiem, że w międzyczasie dwukrotnie ją zgubiła, ale się odnalazła. Raz leżała w śniegu przez całą noc przed kamienicą, w której mieszkaliśmy w Częstochowie. Rano została odnaleziona. Gdy otrzymałam bransoletę nikt nie nosił starej biżuterii, nie było to „dobrze widziane”.



Włożyłam, więc ją tylko na bal pomaturalny i schowałam. Jednak zawsze była ze mną. Chyba na trzecim roku moich studiów modne były płaszcze z tak zwanego „lodenu”, bardzo ciepłe, ale drogie. Bardzo chciałam mieć taki płaszcz. Poszłam do komisju we Wrocławiu i postanowiłam sprzedać bransoletkę, która została wyceniona na dwa płaszcze. Na szczęście nie znalazł się nabywca. Będąc w Krakowie u mojego Stryja Zdzisia, który przez wiele lat zastępował mi Ojca, zaproponowałam mu kupno mojej bransoletki. Stryj spytał :... ..Ile kosztuje płaszcz?
.....Otrzymałam pieniądze tylko na płaszcz.... Bransoletka została u Stryja.



**Hania ze stryjem
Zdzisławem**

Przyszedeł czas na oddanie tej pamiątki młodszemu pokoleniu. Otrzymała ją w prezencie moja synowa Joanna w dniu narodzin Wojtka. Bransoleta ma już prawie osiemdziesiąt lat. Czeka teraz na córkę Wojtka..

WARSZAWA

We wrześniu 1956 roku wyjechałam z Częstochowy do Warszawy. Zamieszkałam u brata mojej Mamy Wuja Tadzia Bielińskiego i jego żony Reginy. Wujostwo mieszkali na Ochocie przy ulicy Białołbrzeskiej 35/1. Mieli duże ładne mieszkanie.

Nieco pokrzywdzona kupiłam upragniony płaszcz.

Gdy zaprosiłam Stryja na rozdanie dyplomów ukończenia studiów medycznych do Auli Leopoldyna Uniwersytetu Wrocławskiego, dostałam w prezencie MOJĄ BRANSOLETKĘ. Już się z nią nie rozstawałam, choć ją jeszcze raz zgubiłam i odnalazłam.

Córki nie miałam, więc bransoletka czekała na wnuczkę. Jako drugi wnuk urodził się Wojtuś prawie na moje urodziny 15 maja 1995r.



Płaszcz z lodenu - Hania i Witek

Mieszkał jeszcze z nimi ich syn Andrzej, który właśnie kończył studia na Politechnice. Młodszy syn Staś właśnie rozpoczął studia medyczne we Wrocławiu i zwolnił mi miejsce swojej pracy w Instytucie Hematologii na Mokotowie na ulicy Chocimskiej. Wujka opisałam już w innym wspomnieniu poświęcając temu wspaniałemu człowiekowi kilka stron. Zresztą Ciocię Reginkę też cudowną kobietę tam opisałam. Dom wujostwa był to dom pełen ciepła i miłości, otwarty dla każdego. Z Andrzejem byłam żyta od wczesnego dzieciństwa, był dla mnie zawsze starszym bratem i przyjacielem.

Rozpoczęłam swoją pierwszą pracę, która polegała na pomaganiu pewnej Pani Doktor, która pisała pracę naukową na temat wpływu oziębiania krwi na jej krzepnięcie. Po przeszkoleniu wykonywałam badanie czasu protrombinowego u kotów. Konkretnie to wyglądało tak: Koteczka usypiałam eterem, potem rozciągałam na miniaturowym stole operacyjnym, zakładałam coś w rodzaju kaniulki, wenflonu do żyły, okładałam kotka lodem. Po spadku temperatury o kilka stopni pobierałam krew i badałam czas protrombinowy i tak kilka razy. Wyniki dokładnie zapisywałam i codziennie Pani Doktor oddawałam. Praca była lekka. Szkoda mi było kotków, ale co się nie robi dla dobra nauki i punktów na studia. Pani Doktor rewanżowała się przygotowując mnie do egzaminu wstępnego z chemii. Wynagrodzenia za pracę nie otrzymywałam. Po jakimś czasie, gdy wyszkoliłam się na kotach, zostałam zatrudniona za jakieś niewielkie pieniądze do badania czasu protrombinowego zawałowcom. Niejednokrotnie musiałam zostawać po godzinach pracy, bo Pani Doktor była bardzo zaangażowana w swoją naukową pracę, a spieszyła się, bo będąc w ciąży czekała na bliskie rozwiązanie. Po pracy spotykałam się ze swoimi przyjaciółmi z Częstochowy, którzy studiowali w Warszawie, a więc moja bliska koleżanka Joasia Kempa, studiująca medycynę, Marek Dziuba na Politechnice i inni. Miałam też nowych przyjaciół z Warszawy. W październiku 1956 roku w kraju narastało niezadowolenie z Rządu Komunistycznego i represji. Pamiętam jak wraz ze studentami skandowałam na wiecu na Politechnice Warszawskiej "Wiesław..Wiesław.." Chodziło o Wiesława Gomułkę. Wydawało nam się, że ten człowiek poprawi nasze życie w komunizmie. Może mieliśmy trochę racji. Po nastaniu Gomułki nieco się zmieniło. Szczególnie dla mnie. Nareszcie nie patrzono na moje pochodzenie i na studia medyczne nie zdawało się nauki o konstytucji komunistycznej tylko chemię, biologię i fizykę. Warszawa stała się trochę weselsza. Zaczęliśmy chodzić na koncerty rockowe. Przyjechała do Warszawy z koncertem Orkiestra Glenna Millera, na którym byłam z przyjaciółmi. Wujek pokazywał mi Warszawę, którą bardzo kochał. Poznałam wszystkie zakątki: odbudowaną Starówkę. Łazienki, budującą się trasę W-Z i Zamek Królewski oraz inne miejsca godne zobaczenia.

Szybko minął mi okres w Warszawie. W lipcu 1957 roku przystąpiłam do egzaminów wstępnych na Akademię Medyczną we Wrocławiu. Dobrze przygotowana przez moją Panią Doktor, uzbrojona w dodatkowe punkty za pracę, bez obciążeń związanych z pochodzeniem dostałam się na studia medyczne. Nie byłam we Wrocławiu osamotniona, czekał na mnie mój drugi brat cioteczny Staś Bieliński, który właśnie ukończył pierwszy rok na medycynie. Towarzyszył mi do drugiego roku studiów, po czym przeniósł się na studia do rodzinnej Warszawy. Wrocław stał się moim ukochanym miastem. Tu byłam szczęśliwa.

POŻEGNANIE MYSZKI

Dnia 08. lipca 2016 roku o godz 14.00 w kościele Św. Pawła w Bielsku Białej odbyło się uroczyste pożegnanie Myszki, która zmarła rano w poniedziałek 4 lipca tegoż roku.

Siedziałam blisko trumny mojej przyjaciółki i nie mogłam skupić się na modlitwie. Myślami wracałam do przeszłości. Pamiętam dzień, kiedy w Liceum pierwszy raz siadłam obok Myszki w pierwszej ławce. Miałyśmy po czternaście lat. Zapytałam czy mogę z nią siedzieć i czy chce być moją przyjaciółką. Siedziałyśmy razem do matury. Przyjaźń została na zawsze.

Mieszkałyśmy w Częstochowie w tej samej kamienicy przy ulicy Kilińskiego 21 na drugim piętrze, ale w innych klatkach schodowych. Naturalnie nie miałyśmy telefonów w mieszkaniach (nie mówię o telefonach komórkowych) - miałyśmy natomiast jako nastolatki potrzebę częstego komunikowania się. Nasze balkony były na tym samym poziomie, ale w pewnej odległości. Przeprowadziłyśmy linkę między balkonami z zawieszonym krowim dzwonkiem i tak wywoływałyśmy się nawzajem w pilnych sprawach, a było ich mnóstwo. Nie zawsze był zadowolony z tego Ojciec Myszki obudzony nagle ostrym dzwonieniem. Byłyśmy właściwie nierozłączne. Po maturze rodzice pozwolili nam pojechać po raz pierwszy samodzielnie na wakacje do Białego Dunajca. Pojechałyśmy tam na zaproszenie kolegi ze studiów Ewy (siostry Myszki). Oprócz Ewy pojechała z nami kuzynka Myszki i Ewy Irka Aryko. Po raz pierwszy uczestniczyłyśmy w prawdziwym weselu góralskim, chodziłyśmy w Tatry, upajałyśmy się samodzielnością.

Myszko-pamiętasz wspólny spływ kajakowy Nidą i Wisłą, zwiedzałyśmy po drodze Sandomierz, Tarnobrzeg aż do Płocka. Miałyśmy wiele przygód wspaniałych, a nieraz niebezpiecznych. Byłyśmy wtedy już studentkami.

Pamiętasz Myszeńko mój ślub. Byłaś świadkiem i druhną moją. Miałaś nie mały dylemat bo w tym samym dniu 04. 08. 1962 roku brała ślub Twoja kuzynka Irena Aryko. Na szczęście przyjęcia weselne były po sąsiedzku. Noc poślubną spędziłam z Witkiem u Twoich cudownych Rodziców, bo w moim domu było zbyt dużo gości do przenocowania.

Pamiętasz mały wiejski kościółek w Zagórze Śląskim, gdzie ochrzciliśmy mojego synka Maciusia w 1964, a po latach jego ślub w Lubinie w lipcu 1988 roku.

Pogrzeb Twojej siostry Ewy z którą też byłam zaprzyjaźniona.

Nasze ostatnie spotkania w trakcie mojego pobytu w Sanatorium w Ustroniu. Wspólne spacerunki i wycieczki. Wyjechałam obdarowana przez Ciebie wspaniałymi przetworami Twojej roboty.

Miałaś w tym roku do mnie przyjechać, „już na pewniaka” Nagle telefon „jestem w szpitalu”. Codzienne rozmowy przez tydzień, wspomnienia... Nagle głuchy telefon.

Głos Małgosi „Myszki już nie ma” ŻEGNAJ MYSZKO!

Do zobaczenia w Innym Świecie.

Twoja przyjaciółka

Hania Treutler Lesisz

Nysa 08.07.2016.